Rozmaitości

Dnia 16. Września Nr 37. 1837 Roku.

KRÓL KAROWY.

OSNOWA DRAMATYCZNA.

Przez p. Scribe.

(Dokończenie.)

Jeszcze nad tém myślałem, gdy oto drzwi się otworzyły, a młody lekarz wszedł do sali, z którym z Paryża znajomość miałem, i który także dopiero przed kilką dniami do Mont d'Or przyjechał w towarzystwie jakiegoś znakomitego człowieka, biorącego pod jego dozorem kąpiele. Rzecz naturalna, że równie, jak wojskowi ciągle rozprawiają o swych wyprawach, autorowie o swoich książkach, tak też lekarze o swoich pacijentach; nie można im tego brać za złe. I nasz młody doktor nie dał długo czekać na siebie, bez obawy znudzenia albo zmieszania naszych pań, zaczął natychmiast rozpowiadać o rozmaitych dziwnych i rzadkich przypadkach pacijentów, których albo sam leczył, albo widział jak drudzy leczyli; łącząc do swych powieści jużto jałowe, już dowcipne anegdoty, których oprócz mnie nikt nie słuchał, bo, jak mówię, jużto do mojego stanu należy słuchać każdego, gdy o jakiéj rzeczy rozprawia. Między innemi rozpowiadał także pan doktor, że był nie dawno przywołanym do jednego młodego człowieka, który w pojedynku został niebezpiecznie szpadą ranionym. »Rana,« rzekł, »była ze wszech miar znaczna, ale w bardzo osobliwszy sposób zadana. Szpada nie ugodziła w piers prosto, ani z dołu do góry, ale całkiem przeciwnie, z góry na dół. Co tém dziwniejsza, że pacijent był bardzo wysokiego wzrostu, a przeciwnik jego musiałby być olbrzymem i mieć ośm, a nawet dziesięć stóp wysokości, ażeby go był mógł w ten sposób przebić. Krótko mówiąc, zacząłem mieć podejrzenie, i nalegałem tak długo na mego pacijenta, aż dopokąd się przede mną nie przyznał, że sam szpadą przebił piers swoję. A wiész wćpan dla czego? zgadniéj też wćpan; ale nie! nigdy nie zgadniesz, bo to jest myśl szalona. Oto chciał miéć jakiś powód jechania do Baréges; zaklinał mię, abym mu kąpiele w Baréges przepisał; nie dałem się długo prosić, bo widziałem, że ich istotnie potrzebuje. Nieborak nagrodził mię sowicie, a wyjeżdzając, jakże mię nie zaklinał, abym tego nie powiadał przed nikiém.« — »A wćpan pięknie dotrzymujesz mu słowa,« ozwałem się z uśmiechem. — »Przed wćpanem, nicto nie szkodzi,« odrzekł doktor. W téjże chwili wszedł jenerał do sali, wsparty na ramieniu swojego adjutanta. Henryk, spostrzegłszy doktora, pospieszył z największą uprzejmością do niego: »Wćpan tu jesteś?« to mówiąc podał mu rękę, »moje panie, kochany wuju, oto jest mój zacny doktor, który życie mi ocalił; wyleczył mię szczęśliwie z mojéj rany, i mam nadzieję, że w Baréges zupełnie przyjdę do zdrowia. Nie prawdaż, mości doktorze? Wszakto wćpan przepisałeś mi kąpiele w Baréges.« Doktor zmieszany przebąknął słów kilka, i pożegnał się czém prędzéj, tém się wymawiając, że pacijent czekał na niego. Jenerał w dobrym humorze, usiadł sobie wygodnie w krześle poręczowém; Henryk oparł się o gzyms kominu i uśmiéchał się, błogi szczęśliwością swoją; wicehrabina osłupiała z przestrachu, rozpalona gniewem chciała mówić, lecz nie miała odwagi. Celina pobladła i oparłszy głowę na ręku, siedziała zamyślona. Ja, patrząc z uwagą na tę niemą, po mistrzowsku graną scenę, czekałem z największą ciekawością,

jak się też rozwinie, i jak zakończy... Pierwszy głos, który się znowu dał słyszeć, byłto głos jenerała. Zaczął sobie nucić piosenkę ulubioną; byłato aryja z opery nowéj, ale ją do swego smaku i użytku tak po swojemu urobił, że bardzo trudno, aby ją muzyk, który ją komponował, za swoję własnę był uznał. »No, cóż tam, moje panie,« ozwał się, skończywszy piosneczkę, »jutro wyjeżdzamy do Baréges, i tamże przez cały miesiąc zabawimy, nie prawdaż?« Nikt się nie zdobył na odpowiedź, wszyscy milczeli, ale z ócz Henryka błysnął promień radości. »Czy już popakowane są twoje rzeczy Celino?« zapytał jenerał, »i twoje wicehrabino?... No, jakże, czépki, kapelusze, pudełka, i tym podobne rupiecia, czy już w pogotowiu?« Celina widocznie starała się nabrać odwagi: »Wszystko jest przysposobione do podróży wćpana;« rzekła stłumionym głosem. »Do mojéj podróży? a to zkąd? czyliż nie pojedziemy wszyscy razem?« — »Nie, mój panie.« — »No, a toż dla czego, cóżto za przyczyna, łaskawa pani?« — »Naszym zamiarem było tylko do Pau towarzyszyć wćpanu; w tém miejscu masz swą posiadłość i piękny zamek, którego jeszcześmy nie widziały; tam możemy pozostać, ja i moja matka, dopóki wćpan z Baréges nie powrócisz.« — »Jako, panie więc chcecie mnie samego w Baréges zostawić? A toby co pięknego było.« — »Tegom nie mówiła, mój panie; nie chciałyśmy bynajmniéj zostawić go samego, owszém, zamiarem moim było przez cały czas zostawać przy nim; ale ponieważ pan de Castelneau jedzie także do Baréges, nie będzie więc wćpanu zbywało ani na pomocy ani na towarzystwie, i dla tego nie jesteśmy już potrzebne dla wćpana.« — »Niech mnie Pan Bóg skarze, jeżeli rozumiém, co ty gadasz.« — »Więc powiém wćpanu otwarcie, że nie mam wcale ochoty zagrzebać się na cały miesiąc między dzikiemi i pustemi górami; bo sądząc po tych trzech dniach, któreśmy tu spędzili, musi tam być bardzo nudno.« Widziałem jak jenerał z niespokojności suwając się po krześle, ciągle obracał w ręku tabakierkę. No, teraz niebawem i burza wybuchnie, pomyślałem sobie. Ale na Henryka nie mogłem patrzeć bez politowania. Ten nieszczęśliwy młodzieniec był jak trup blady i trzymał się gzymsu komina. W twarzy jego malowała się rozpacz okropna. Wystawmy sobie, co się w jego sercu działo, jaką zrobił dla niéj ofiarę! Przebił sobie piers szpadą, aby tylko jeden miesiąc mógł być przy niéj, a ta okrutna nie chciała na to przyzwolić! Grymas srogiéj kobiéty wydarł mu szczęście jego. Ale jenerał nie mógł się wstrzymać dłużéj, zerwał się i tak trącił nogą o krzesło, że aż na środek pokoju poleciało. »Co!« rzekł z uniesieniem, »albożto ja wasz rekrut, abym znosił wasze wymysły? Myślicie może, że dam sobie grać na nosie? Wćpani pojedziesz ze mną, tak być musi, i na tém koniec!« Celina powstała z krzesła drżąca na całém ciele, ale odparła mocnym głosem i z widoczną obojętnością: »Ja nie pojadę z wćpanem.« — »Dla czegoż nie pojedziesz? Powiedz?« — »Dla czego?« powtórzyła ciągnąc to zapytanie; zebrała całą swoję odwagę, pokonała w sobie drzenie serca, i przygotowana na wszystko, pamiętna jedynie o swéj powinności, oświadczyła na pół stłumionym, ale dobitnym głosem: »Bo nie chcę.«

To było za nadto dla jenerała, i byłby może z wściekłością rzucił się na przedmiot oporu, gdyby jęk w oddaleniu sali nie zwrócił był naszéj uwagi. Henryk zasłabł, i mało, że nie upadł na ziemię; schwyciłem go w moje ramiona i położyłem na kanapie. Zapalczywy gniew jenerała zwrócił się za jednym razem od małżonki na siostrzeńca: »Co to za nieroztropność! ten młokos wcale się nie szanuje! któż mu stać kazał! Z długiego stania zapewne znowu się otworzyła rana. Ja mu to mówiłem, ale mnie słuchać nie chce, przeklęty młokos; nikt mnie tutaj nie słucha, nikt na mnie nie uważa. Żeby was wszystkich kaci zabrali! No, cóż tam, czy przychodzi do siebie?« Celina zajęła się troskliwie chorym; skrapiała go trzeźwiącemi woniami, nacierała mu skronie i najtkliwszą okazała podzielność. »Ah, przecież!« zawołał jenerał uradowany, »otwiera oczy.« Ale skoro tylko Henryk przyszedł do siebie, oddaliła się Celina z największą skwapliwością, i poszła z matką do swojego pokoju. Jenerał także nie długo bawił, zostawiwszy w spokojności swego siostrzeńca, który już zupełnie był przyszedł do siebie, poszedł do Celiny, aby ją namową, prośbą lub groźbą nakłonił do jechania z nim do kąpiel w Baréges.

Ale to wszystko nic nie pomogło. Wieczorem jenerał, Henryk i ja, zeszliśmy się znowu w salonie. »Niktby nie uwierzył co za uporczywą główkę ma ta kobiéta.« — »Jako!« zawołał Henryk, »nie pojedzie więc z nami?« — »Nie, mój synu; pojedziemy tylko obadwaj, a ona przez ten czas zostanie z swoją matką w Lescar, koło Pau, w naszym zamku.« — »I pan jenerał przystałeś na to?« zapytał siostrzeniec, głosem niby zarzut czyniącym. — »A cóż miałem robić? Wierzaj mi, żem wszystkiego próbował, ale byłaby prędzéj zabić się dała. Nawet groziłem jéj dosyć surowo.« — »Cóż na to powiedziała?« — »Co powiedziała? »»Dobrze, zabij mnie, tém pewniéj do Baréges nie pojadę.«« Co w tém, to miała słuszność. Co za upor w tak młodéj kobiécie! Nie mogę z zadziwienia jeszcze przyjść do siebie. Gdyby nie ta przywara, gdyby nie była tak uporną, nie byłoby milszéj kobiétki w świecie!«

Nazajutrz z rana wybraliśmy się w podróż; popakowano wszystkie rzeczy; pokojowa powiedziała mi, że jéj pani przez całą noc nie zamrużyła oka, i wszystko sama swoją ręką robiła. Zajechały powozy, Celina wskoczyła spieszno do karyjolki; za nią wsiadała wicehrabina, i korzystając z chwili, w któréj pomagałem jéj wsiąść do powozu, rzekła do mnie pompatycznie te słowa po cichu: »No, jakże, czy wierzysz teraz, mości panie, że dobre wychowanie i gruntowne zasady są tarczą dla serca przeciw wszelkiemu niebezpieczeństwu? Nie byłożto prawdą, com mówiła, że przy dobrém wychowaniu i zasadach na moralności ugruntowanych, nié ma nieszczęśliwego małżeństwa?« Cóż miałem odrzéc? Skłoniłem się i tylko w sobie pomyślałem: ale są walki i niewysłowione cierpienia, i uważałem, że Celina miała twarz bladą i zapłakaną; jeszcze jéj stały łzy w oczach, których przed nikim okazać nie chciała, a postrzegłszy z dala swego małżonka, idącego z Henrykiem do powozu, zawołała skwapliwie na postylijona: »Jedźże!« Postylijon trzasnął z bicza, cztéry konie ruszyły i w okamgnieniu zniknął nam powóz z oczu. Jenerał wziął się za głowę: »Patrzcież, co ona robi; dalibóg, oszalała; odjeżdża, nie kłania się, nie żegna nas, ani się daje z sobą pożegnać?« Jak mi Bóg miły, pomyślałem sobie w duchu, pisarz komedyi może sobie miéć za szczęście, gdy mu się bez szukania taka osnowa nasunie; ale nie, to jest raczéj osnowa do czułéj dramy familijnéj; z rozrzewnieniem albowiem patrzyłem, jak Henryk stał milczący; boleść serca odebrała mu zmysły, nic nie widział, nic nie słyszał, nie mógł przemówić ani słowa; jak dziecko dał się mi ująć za rękę i posadzić obok wuja w powozie. Ani mi podziękował, ani się pożegnał ze mną, a w tém powóz odjechał.

W kilka godzin poźniéj i ja opuściłem miasteczko i bez zwłoki wyjechałem ku Pirynejom na południe. Czytelnik niech się nie straszy, nie będzie on odbywał ze mną wszystkich podróży. Nie jest moim zamiarem prowadzić go na stromy szczyt góry *Montperdu*, który niezawodnie równie jest widzenia godny i prawie tak wysoki, a przytém daleko przystępniéjszy, niżeli *Montblanc;* ani go poprowadzę w rozkoszną, malowniczą dolinę *St. Jean de Luce* i *St. Sauveur*; ani też przez tak rzeczony *széroki chaos*, przez ten okropny labirynt z skał ogromnych, które zdają się być z nieba spadłe, lub z piekieł wyrzucone. Przejdziemy uboczą, koło skalistéj *Gawarni*, bo gdybyśmy zaszli do środka, dziwny przepych i okazałość widoku takby oczy nasze zajęły, iżbyśmy ztamtąd nie tak prędko wrócili. Czy widzicie tam w górze ogromne skały *Maraboru* i niebotyczne jego mury i wieże; zdaje się, jak gdyby olbrzymy lub czarowniki zbudowały sobie ten zamek w powietrzu; jest on otoczony wałem z odwiecznych śniegów, które w blasku słonecznym świetne rozsypują brylanty. W pobliżkości tego zamku znajduje się wyłom Rolanda, ogromny mur z granitu, dzielący niegdy Francyją od Hiszpanii; ale Roland rozłupał go jednem cięciem pałasza i otworzył przez środek drogę. Dwieście lub trzysta stóp głęboko idzie ten wyłom przez wał skalisty, i roztwiéra széroki widok na żyzne niwy i bujne smugi Arragonii. Jakoż nie jesteśmy sami w téj okropnéj i górzystéj pustyni; towarzyszą nam wszyscy bohaterowie Aryosta. U podnóża tych gór skalistych walczyli Agramant i Ferragus przeciw paladynom Karola Wielkiego; może także nie daleko jest szczyt góry, z któréj Astolf wzniósł się w powietrze. Porzućmy go, niech sobie leci,

i skierujmy kroki nasze ku ziemi, bowiem mroźna zima panuje na tych górach. Zbliżamy się do wioski Gedrès, której mieszkańcy pół francuzkiém, a pół hiszpańskiém zarywają narzeczem; wstąpmy do chaty dzielnego i poczciwego górala, zagrzejmy się u niego przy kominku i przekąśmy kawałek chleba w towarzystwie jakiego przemytnika, który właśnie odpoczywa po pracy. Posiliwszy się, udajmy się w drogę przez dolinę *Bastan* po nad *Tourmalet*, a w reszcie na dół w rajską dolinę *Campan* do Bagnères. Otóż stanęliśmy u celu naszéj podróży; jeżeli chcecie sobie wypocząć, używać wdzięków natury i żyć spokojnie i szczęśliwie, nie mogę wam wymienić lepszego miejsca na ziemi.

Po drodze, gdym się wspinał to z dołu do góry, to z góry złaził na dół, wpadła mi na myśl osnowa z bajki Lafontena do komedyi w pięciu aktach. Trzeba kuć żelazo dopóki jest gorące; nająłem sobie w Bagnères mały domek, położony w rozkosznem miejscu, obok pięknego zamku Lugo, na przeciw długiéj alei Maitenon; wysadzonéj wielkiemi kasztanami, i tu przeżyłem czternaście najspokojniejszych i najszczęśliwszych dni w mojém życiu. Wieczorem i z rana pisałem komedyją; w dzień przechadzałem się w okolicy rozkosznéj po dolinie *Campan* i *Esponne*, uczęszczałem do klasztorów *Medoux* i *Elisée-Saint-Paul*, jakoteż na najwyższe gór szczyty; raz zwiedzałem okopy Cezara, albo *Grat Heyris*, drugą razą wysoki szczyt góry *Pic du Midi*, z którego wierzchołku dolina *Bigorre* i wzgórza okolice Bearnu widzieć się dają. Świeże powietrze gór wysokich, jasny blask słońca, zielone doliny i pochyłości, jakże to wszystko zajmuje, pokrzepia i orzeźwia wędrownika! I dusza i ciało nabiéra sił w tém swobodném gór przestworzu; choroba, zmartwienie i zgryzota, wszystko zostaje się na dole; oby tylko, gdy zejdziem na dół, znowu się z nami nie spotkały!

Ukończyłem pięć aktów komedyi i nie myślałem zostać dłużéj. Pożegnałem piękną dolinę *Campan*, a odwiedziłem znajdującą się pomiędzy jéj wzgórzami przyjemną rozłągę *Argelles*, miasteczko Lourdes, cudnie piękną kaplicę Najś. Panny w Bétharram, i udałem się wreszcie w drogę do Pau. Miałem do tego liczne powody. Jeden z moich przyjaciół, człowiek równie poczciwy z charakteru, jak przyjemny towarzysz, były naczelnik szwadronu gwardyi królewskiéj, mieszka z całą swoją ukochaną rodziną w królewskim niegdyś pałacu w Pau; dla tego nie mógłem znieść na sobie, zwiedziwszy Piryneje, ażebym go nie odwiedził. Drugą wizytę miałem oddać w Lescar, nie daleko Pau, dokąd jenerałowi i wicehrabinie z powrotem wstąpić obiecałem. Jakoż wróciwszy z gór, nie zaniedbałem złożyć im mojego uszanowania; ponieważ korciło mię niezmiernie zobaczyć jeszcze Celinę.

Zamek w Lescar jest bardzo piękną budową i w bardzo przyjemnném położeniu; obszérny źwierzyniec ciągnie się aż do czystéj i rwiącéj rzéki Gave; z okien bawialnego pokoju daje się widzieć w poblizkości łańcuch gór *Jurançon*, a w widokręgu, na odległość pietnastu mil, sine, białemi smugami uwieńczone pasmo Pirynejów.

Przybywszy do pałacu przewitały mię bardzo uprzejmie wicehrabina i jej córka. Dowiedziałem się, że jenerał jeszcze z Barèges nie powrócił; dla tego można sobie wystawić moje zdumienie, gdy wszedłszy do sali postrzegłem pana de Castelneau, siedzącego na kanapie i czytającego gazetę. Wicehrabina postrzegła moje zadziwienie: »Jenerał« rzekła do mnie półgłosem, »wysłał go naprzód, dla doręczenia depeszów komendantowi w Pau, ale właściwie dla zasięgnienia wiadomości o Celinie, która była podtenczas bardzo słabą.« Dałem jéj poznać mój żal w téj mierze i podzielność obawy. »Szczęściem nic się złego nie stało,« rzekła daléj, »Celina ma się już daleko lepiéj. Jenerał pisze nam z resztą już od tygodnia, że lada dzień nadjedzie; żądał wyraźnie, aby Henryk mieszkał w pałacu, i w saméj rzeczy, byłobyto nieprzyzwoicie dawać mu gdzie indziéj mieszkanie.« — »Jako, pan de Castelneau,« rzekłem, »bawi tu już od tygodnia?« Wicehrabina odgadła moje myśli: »Obawa wćpana,« rzekła, »jest bezzasadną; rozumiałam, że wćpan poznałeś lepiéj moję córkę; z resztą, upewniam go, żem ani na chwilę nie spuściła z moich oczu Celiny.« Tak było w saméj rzeczy. Celina bawiła cały dzień, zajęta robotą w salonie obok matki; nawet na przechadzkach w źwierzyńcu nie miał Henryk zdarzenia znajdować się z nią sam na sam.

Jakoż na pochwałę jego powiedzieć muszę, że nawet nie szukał do tego sposobności. Całe zachowanie się jego było przykładne i zasługiwało na największą zaletę. Był on dla Celiny niewymownie uprzejmy, i z największym szacunkiem uprzedzający, ale nie wydawał się żadném słówkiem, żadném wzruszeniem; co większa, strzegł się spojrzenia, któreby przed obcym tajemnicę jego serca wyjawić mogło. Odzyskał nawet dawną czérstwość i wesołość młodzieńczą, nie był już wcale zadumany i bawił się z nami wesoło. Teraz dopiéro go poznałem jak był miłym, przyjemnym; przy skromności łączył dowcip, wiadomości; w mowie swojéj okazywał szlachetność myśli i charakteru; słowem, wiele zalet, których piérwéj w nim postrzedź nie mógłem, jaśniały teraz w całym blasku. Wicehrabinie wpadł w oko jeden artykuł gazety, zaczęła go czytać na głos; byłato powieść samobójstwa... »Nieszczęśliwy!« rzekła Celina, gdy się powieść skończyła, a głos jéj zdawał się wyrażać, że coś więcej niż politowanie czuła z powodu tego czynu. »Szaleniec!« zawołał Henryk wyrazem pogardy. »A wćpan,« zapytałem skwapliwie, »gdybyś był na miejscu tego nieszczęśliwego, czylibyś nie uniewinniał tego czynu?« — »Przenigdy!« odezwał się z zapałem, »kto sobie śmierć zadaje dla własnych cierpień, ten się pozbawia największego szczęścia na świecie.« — »A któreżto jest to szczęście?« — »Umrzéć za tych, których kochamy.« Jeszcze ją kocha, pomyślałem sobie w duchu, ale życzę mu szczęścia, postąpił sobie jak mąż odważnie, pokona i przezwycięży swą namiętność. Powziąłem wielki szacunek dla tego młodego człowieka.

Wicehrabina przypomniała mi naszę umowę w Mont d'Or; romans jéj był skończony, miała mi go przeczytać. Rozumie się, iż z ukontentowaniem przyjąłem to zaproszenie i udałem się z nią do jéj czytelni. Zajęta zupełnie swą autorską próżnością, zdała mi się w tym momencie zapominać o macierzyńskiéj ostrożności, a Henryk przez kilka chwil mógł zostawać z Celiną. Ale domysł mój był mylny. Czytanie romansu trwało długo, i nie chwaląc się, wytrzymałem je z bohatérską odwagą; w przeciągu tego czasu słyszeliśmy w sali Celinę, grającą łagodne i smętne melodyje na fortepianie; znajdowała się sama. Henryk wyszedł był do zwierzyńca; pojrzawszy przez okno widziałem go przechodzącego się w alei, oddalonéj od zamku. Powróciwszy znowu do sali, zastałem Celinę jeszcze samotną; siedziała na krześle i oparła głowę na ręce. Gdym wszedł do sali, poskoczyła ku mnie czém prędzéj, przymuszając się do uśmiechu; ale oczy jéj poczerwieniały, chustka jéj spadła koło krzesła na ziemię, podjąłem ją, była zwilżona. »Jakie ze mnie dziecko,« rzekła pokazując na książkę na gzymsie komina leżącą, »że mnie romans do łez poruszyć może. Pojrzałem na książkę, byłto romans jéj matki: dowód najlepszy, że mówiła nieprawdę, jeżelibym w ogólności potrzebował na to jeszcze jakiego dowodu.

Pod wieczór zjechało się do zamku wiele gości, wszystkie znakomite osoby z Pau i okolicy zgromadziły się w sali. Celina przyjmowała je z wdziękiem i niezrównaną uprzejmością; rozmowa jéj z gośćmi była tak żywa, tak wesoła, jak gdyby żaden smutek nie ciężył na jéj sercu; była grzeczna i uprzedzająca dla każdego, prócz dla Henryka, któremu czasami, względem urządzenia stolików do gry, szepnęła do ucha niektóre polecenia. Mnie posadzono z trzema znacznymi urzędnikami departamentu do wista, drudzy starzy panowie grali w pikietę, damy sędziwe zaprosiła wicehrabinę do bostonu; prefekt z Pau i jeneralny poborca podatków departamentu, grali w bilar; tymczasem Celina otoczyła się młodzieżą obojéj płci i zaproponowała im grę w fanty. Przyjęto ją z zapałem; prawda, iż Paryżanka możeby na to nosek skrzywiła, mówiąc: *»Je n'aime pas les jeux innocens,«* ale na prowincyi, a szczególniéj w departamencie niższych Pirynejów, które tak bardzo od Paryża są oddalone, niewinna gra jest jeszcze w modzie. W gwiazdach stało napisano, iż Celina każdą razą, kiedym grał w wista, miała być dla mnie nieszczęściem. Myślałem tylko o niéj, uważałem więcej na wesołą zabawę, któréj ona przewodniczyła, niż na grę w karty, i myliłem się raz po raz. Partner mój, widząc tak doskonałego gracza ze stolicy, wzruszał ciągle ramionami, ale mu to nic nie pomogło. Henryk stał na boku i przypatrywał się grającym w bilar; ale niebawem przybiegło dwie młodych pań i zaprosiło ładnego adjutanta do gry we fanty. Pół chętnie, a pół niechętnie zajął Henryk miejsce pomiędzy grającemi, ale tak daleko, jak tylko można od Celiny, umiał nawet przy karach, które zadawał lub wypełniał, zawsze w taki sposób urządzić, iż się do niéj nie zbliżał. Atoli przypadek z wszelkiéj przezorności człowieka robi sobie igrzysko, zdarzyło się więc, że Celina prawem gry osądzoną została do pocałowania swego siostrzeńca. Powstała... w tym momencie ubiłem mojemu partnerowi ósemkę *coeur*, która już lewę zrobiła; ten krząknął i zniecierpliwiony posunął swe krzesełko; krząkaj i suwaj, myślałem sobie... i wlepiłem moje oczy w Celinę, która powolnym krokiem z niewinną uprzejmością przybliżyła się do Henryka i nachyliła mu do pocałunku różane usta. Dotknął się ich z lekka młodzieniec i nie zaczerwienił się, nie zbladł, nie stracił przytomności — słowem, nic nie było z tego wszystkiego, czego się spodziewałem. Przytomność i oziębłość nie opuściła go ani na chwilę. »A to w saméj rzeczy bohatér!«

pomyślałem sobie; nie wiedziałem, czy go więcej podziwiać, czyli żałować; co większa, w mojém własném sercu odkryłem potajemne życzenie dla niego i dla jego miłości, a która przecież nigdy nie mogła mieć nadziei!

Wykupiono wszystkie fanty; dziewczęta i niektórzy młodzi panowie pozajmowali miejsca około okrągłego, dużego stołu w środku sali i przerzucali dzienniki, ryciny, noworoczniki i tym podobne rzeczy, które dla widoku i czytania na nim leżały. Jedni rysowali ołówkiem na papiérze, drudzy stojąc u okna szkicowali małe partyje zwierzyńca i niektórych okolic. Henryk z grzeczności dla jednéj panienki, siedzącéj obok niego, wyrzynał z drzewa kasztanowego figurę pustelnika. W okolicach Alpejskich i w Pirynejach widać często takie zabawki; pastérze wyrzynają je sami dla rozrywki. Drzewo było niezmiernie twarde, a gdy Henryk strużąc nieuważnie, za mocno pocisnął, wymknął mu się z prawéj ręki scyzoryk angielski, i skaleczył mu wskazujący palec u lewéj ręki. Celina skrzyknęła na głos i pobladła; lecz po chwili przyszła znowu do siebie i śmiała się z swojéj trwogi dziecinnéj. Skaleczenie było nie wielkie, ale na razie ciekła krew mocno. W okamgnieniu rozpostarły panie swoje chusteczki i ofiarowały skaleczonemu; przeszło tuzin futeralików stało otworem; przyniesiono płótna, jedwabiu, angielskiéj kitajki, wycinano plasterki i dwadzieścia białych, wprawnych i delikatnych rączek ofiarowało się do obwijania rany. Pośród żartów i śmiéchu wszyscy dopomagali; ale nie mogli krwie utamować; rzecz nie była tak łatwą; scyzoryk zranił dość głęboko miejsce, które najbardziéj jest ruchome, nad drugą stawą; palec to zginał się, to prostował, a zawiązka zlatywała co chwila. Zawiązano po drugi raz i po trzeci; lecz zawsze bez skutku: »Bądź też pan spokojnym!« zawołano na pacyjenta: »nie ruszaj palcem.« — »Łatwoto paniom mówić! ale trudno do wykonania, bo zawsze na to zapominam.« — »Pan de Castelneau słusznie mówi,« rzekłem, przystąpiwszy do niego, »to się na nic nie przyda; trzeba obwinąć palec czemsić twardém, ażeby się nie ruszał; jakże to zwią chirurgowie?«—»Łubkami,« zawołał Henryk, śmiejąc się; »aby nie ruszać ręką albo nogą, jeżeli złamana.« — »Tak w saméj rzeczy.« — »Ale zkądże weźmiemy łubek?« zapytały damy. — »O to nie trudno,« rzekłem i pobiegłszy do stolika wyjąłem z talii jedne kartę; byłto **król karowy**, co mi wpadł w rękę. Zwinąłem kartę w trąbkę i włożyłem na palec, damy obwiązały ją jedwabiem, przywiązka się trzymała, palec już się nie ruszał, a rana spoić się mogła. Ledwo to się skończyło, natychmiast dało się słyszeć brawo, klaskano w ręce, i ze wszech stron winszowano mi zręczności i biegłości chirurga. Henryk wzywał mnie żartem, abym sobie za moję pracę likwidował nagrodę; Celina przyobiecała, iż we wszystkich wydarzonych przypadkach, w zadraśnieniu igłą lub ukłóciu szpilką zaleci mnie swoim przyjaciółkom. Tym sposobem śród żartów i wesołéj zabawy wybiła jedenasta godzina; mężczyzni pozabiérali swoje laski, pożegnali się i rozeszli. Byłem już nie mały czas w moim pokoju, a jeszczem słyszał wesołą młódź, śmiejącą się, chychocącą i uganiającą się po dziedzińcu, na wschodach i kurytarzu.

Nazajutrz o dziesiątéj godzinie z rana przyszedłem znowu do sali i rozmawiałem z wicehrabiną, gdy z wielkiém mojém podziwieniem wszedł we drzwi — i proszę zgadnąć, kto to był? pan jenerał, który w najweselszym humorze krzyknął do nas: dzień dobry! »Witamy, witamy pana jenerała!« ozwała się wicehrabina, »ale zkądże się wćpan tu wziąłeś? jakim spospobem przybyłeś? Wszakżeśmy nie słyszeli wcale zajeżdzającego na dziedziniec powozu.« — »Przyjechałem z rana o piątéj, wszyscyście jeszcze spali...« — »Czy tak?...« — »Nie chciałem nikogo budzić, wszedłem prosto na wschody do pokoju mojéj żony, i zastukałem; nie chciała mi z razu otworzyć, tak się była zalękła.« — »Tegom się spodziéwała, bo któż tak nagle ze snu kogo przebudza.« — »Biédaczka myślała, że na zamek napadli hiszpańscy powstańcy lub przemytniki; ale wkrótce nabrała odwagi. Już się całkiem uspokoiła. No, jakże się tu z resztą miewacie?« — »Bogu dzięki, wszyscyśmy zdrowi.« — »Czy dobrzeście się bawili. Cóżeście robili podczas méj niebytności?« — »Wczoraj w wieczór mieliśmy gości u siebie. Graliśmy w wista, bostona...« — »Ale, ale, moja wicehrabino, mam coś ważnego pomówić, co się gry w karty dotyczé. Co też pani sobie myślisz? robisz z mojéj żony zapaloną karciarkę.« — »Ja? a to jakim sposobem?« — »Karciarka z niéj zapalona, prawdziwa *coeur dama*. Możnaby pomyśléć, że jak dzień tak noc kart z rąk nie puszcza. Oto patrz wćpani,« to mówiąc roześmiał się na całe gardło, »com téż znalazł w jéj pokoju, oto tę kartę, proszę się przypatrzyć, jak **króla karowego** w trąbkę zwinęła. Nie jestżeto rzecz śmieszna?« Zadałem sobie przymus i śmiałem się z nim w zawody, aby nie postrzegł pomieszania wicehrabiny, która siedziała, jak piorunem rażona. Ale jenerał puścił wolno cugle swéj wesołości. »Otóż macie, jak się nasza pani wicehrabina zadumała, ani się śmieje, ani odpowiada, jak gdyby ją boleśnie co dotknęło. Zdaje się, że poznaje swoję niesłuszność!« Zaiste, pomyślałem sobie w duchu, prawda, że ją poznaje!

W téj chwili wszedł Henryk do pokoju dla przewitania swego wuja; w kilka chwil poźniéj ukazała się Celina. Siedliśmy do śniadania, które

było całkiem domowe, nie było nas tylko czworo przy stole. Uważałem Henryka i Celinę; oboje zdawali się być obojętnémi, jakby obcy dla siebie, dalecy od wszelkiéj poufałości, jak wczoraj przy zabawie; ale jak przenikliwém było teraz me oko! czegożem nie wyczytał w cztéru oczach, które unikały jedno przed drugiém! jak wymownem widziałem to milczenie! jakichże uczuć nie udzielały sobie na wzajem w każdéj chwili, gdy na pozór zdawały się nic nie mówić do siebie!

Wstaliśmy od stołu i poszli na dół do zwierzyńca. Wchodząc tam, zostałem się z wicehrabiną za drugiemi o kilka kroków w tyle. »Łaskawa pani,« rzekłem do niéj z powagą, »no, jakże teraz? mamże wierzyć na przyszłość, że dobre wychowanie i gruntowne zasady mogą uchronić od niebezpieczeństw związki nierówne?«—»Milcz wćpan!« skrzyknęła z cicha; »jenerał nadchodzi!« Właśnie zbliżył się do nas, i zapytał z uśmiéchem: »No, jakże, panie poeto, nagrodziłaż się podróż twoja w Pirynoje? znalazłeś jaką ładną osnowę?« — »O, zaprawdę, znalazłem ją, a nawet bardzo ciekawą.« — »Cóżto takiego? czy można wiedzieć? jestżeto dramat lub komedyja?« — »Nie, mości jenerale, jestto *nowella*.«

— Ze Lwowa. —

Wyszedł w Pradze *Czasopisu czeskiego muzeum*, zeszyt trzeci z b. r. (XI. Rocznika), zamyka w sobie między innemi rzeczami: *Sławiańskie przysłowia* przez F. L. Czelakowskiego; *List od Fr. Palackiego z Rzymu do P. J. Szafarzyka*, wiele w sobie ciekawych rzeczy zamykający o poszukiwaniach w Watykańskim księgozbiorze, i o wynalezionych tamże dowodach historycznych, co się dotyczé Sławianów; tudzież zdanie o Wojcickiego *Pieśniach gminnych polskich*; i wiele doniesień o literaturze ruskiéj.

W czeskiém pismie: *Kwiaty*, N. 23. w Dodat. 14m z b. r., znajduje się sąd pochwalny o wyszłym piérwszym tomie *Sławianina*, wydanego przez Stanisława Jaszowskiego.

W Pradze został wybity medal na zjazd uczonych miłośników przyrody i lekarzów, mający na głównéj stronie: węża, w pysku trzymającego koniec ogona, i tworzącego tym sposobem wieczności obraz pierścień, w którego środku napis: *Praga consortii memor.* Nad głową węża znajduje się ośmio-promienna gwiazda rozdzielająca napis: *Concioni XV. Natur. Scrut. et Medic. Germaniae. MDCCCXXXVII.* Strona odwrotna przedstawia w bardzo pięknem rznięciu ratusz praski z wieżą. Napis pod spodem: *Curia*, i z obiedwóch stron tego napisu drobny jest napis: *J. de Lerch. Fecit Pragae.* Powód wybicia tego medalu, a oraz piękne rznięcie, mieści go między szacowne dzieła sztuki. *A.*

Wiadomość o panu Wrońskim. *P. Wroński*, dawniej oficér artyleryi, poźniéj profesor filozofii w Marsylii, autor kilku dzieł filozoficznych, a nade wszystko jenialny matematyk, od kilkunastu lat zamieszkały w Paryżu, czyni tu ciągle zastosowania do mechaniki, które mają zaprowadzić wielkie ulepszenia w machinach. Te doświadczenia przerwały jego prace teoryczne. Przypominają je teraz inni uczeni, a między innemi zwrócił na nie uwagę publiczności p. Montferrier, autor wydanego w miesiącu sierpniu r. b. Słownika matematycznego, w którym wyłożona jest cała teoryja pana Wrońskiego. Dziennik *National* z d. 8. sierpnia umieścił recenzyję tego słownika. Krytyk tak się w niéj wyraża o panu Wrońskim: »Autor wystawił tam i to nawet ze szczególniejszém upodobaniem, system matematyczny pana Wrońskiego, którego prace, winienem tu wyznać, po raz piérwszy nauczyłem się oceniać. Artykuły: *Contieu, différence, calcul, différentiel, fonction, factorielles, facultes algorithmiques, limite, série, sinus* i t. d., są w części wzięte z pism nader oryginalnych i mało zgłębianych tego jeometry. Zwracam tu uwagę, że nie mowię o pismach filozoficznych, których ocenienie nie jest moją rzeczą, ale o pracach matematycznych pana Wrońskiego. Nie wiém, czy p. Wroński filozof, ma w swoich rękach los ludzkości i to mi nie wiadomo, czy rzeczywiście podobało się opatrzności dozwolić mu przeniknienia przybytku stworzenia; ale utrzymuję, że wszyscy, którzy zatrudniają się naukami matematycznemi, powinni zgłębiać teoryje p. Wrońskiego jeometry; teoryje te zebrane są po krótce w słowniku, który teraz rozbieramy. Na poparcie tego zdania przywiedziem znaczący głos samego Lagranża i znakomitą powagę pana Lacroix, naszego szanownego mistrza; powtórzę tylko jeden okres ich zdania sprawy, złożonego w swoim czasie instytutowi: »»W pismie p. Wrońskiego najwięcéj uderzyło naszych komisarzy, iż ze swéj formuły wyprowadza wszystkie inne formuły rozwijające, a które w niéj są tylko przypadkowémi i podrzędnémi.«« Godna jest zaiste zastanowić się nad tém zdaniem; może przynajmniéj obudzi ciekawość w czytającym ten słownik...« — Z licznych pism p. Wrońskiego, jeszcze ani jedno na język polski wytłumaczone nie jest. Wartałoby, aby który z naszych matematyków i filozofów zajął się przynajmniéj ich rozbiorem i ocenieniem. (Z listu z Paryża z d. 15. sierpnia r. b.) *X. B.*

Z Warszawy. Nie dawno grano w Warszawie oryginalną komedyję we dwóch aktach wiérszem, pod tytułem: *Stara romantyczka*, napisaną przez młodego sceny tamtejszej aktora, pana Bogusławskiego.

Z Paryża. Pan Potier, ten sam, który nie dawno umieścił w pismie *L'aspic* wiadomość o Bogusławskim i o teatrze warszawskim (ob. N. 34. Rozmait. z r. b.), napisał teraz dla tutejszego teatru *Vaudeville*, sztukę dramatyczną ze spiewami, pod napisem: *Francuzi w Polszcze*, która wkrótce na tym teatrze ma być wystawioną. — W ostatnim zeszycie tutejszego pisma tygodniowego *L'Eclair*, znajdowała się powieść, napisana przez pana Kisielnickiego, pod napisem: *Le Talisman.* — *Magasin pittoresque* umieścił nie dawno kilka wyjątków z »Pamiętników Paska,« jak o wydrze Jana Sobieskiego z rysunkiem (zapewne z »Przyjaciela ludu«), i o wyprawie do Danii. Wytłumaczył je na język francuzki zmarły tu nie dawno K. E. Wodziński. *X. B.*

Ojczyste towarzystwo w Pradze, w celu zachęcenia młodzieży do przemysłu, zamyśla niektórych uczniów instytutu politechnicznego, równie jak innych młodych technicznie ukształconych, w miesiącach sierpnia i września na swój koszt wysłać w podróż po własnym kraju, ażeby poznali celniejsze instytuty fabryk i rękodzieł, mocniéj się wydoskonalili w technice i przygotowali do zwiedzania fabryk za granicą; towarzystwo wydało w praskiéj gazecie odezwę, ażeby młodzi ludzie tego rodzaju, mający chęć do takiéj podróży, do niego się zgłaszali.

P. Jourie w Lugdunie wynalazł nakoniec ów tyle okrzyczany ruch nieustanny *(perpetuum mobile)*, w sile wyrównywającéj sile parowéj. Utrzymuje on, że jego wynalazek może być użytym przy żegludze, drogach zwyczajnych, artyleryi i t. d. Z armaty tak nazwanéj perpetualnéj można wystrzelić 60 razy na minutę bez

prochu; dwóch ludzi tylko potrzeba na jéj przeniesienie, a ci mogą z nią ubiédz 2 mile na godzinę; mimo tak znacznych korzyści, koszta takiéj machiny tylko są takie, jak zwyczajnéj machiny parowéj.

Portret malarza Van-Dyka. Zdarzenie, które panu Scribe podało pierwszą myśl do opery: »Mularz i ślusarz,« powtórzyło się przed kilką tygodniami w Paryżu: Była piąta godzina z rana. Mały powóz zatrzymuje się przed drzwiami jednego domu na przedmieściu *St. Marceau*, gdzie mularz mieszka. Jakiś pan wysiada z powozu, puka do drzwi i umawia się z mularzem, czyliby nie podjął się małéj, ale pilnéj roboty w jednéj nieco oddalonéj ulicy. Mularz przystaje, bierze z sobą niektóre narzędzia i wsiada do powozu. Pan zawozi go do pięknego hotelu, udaje się z nim na pierwsze piętro, idzie przez szereg bogato umeblowanych pokoi, i przybywa nareszcie do gabinetu, który bardzo bogato i spaniale był ozdobiony. Tu pokazuje mu pod obiciem z jedwabiu do zamurowania szparę w murze. Mularz, mając z sobą wapno i kielnię, bierze się natychmiast do roboty, i zaczyna sobie gwizdać piosneczkę. Na stukanie mularza przybywa młoda osoba w porannéj szacie, mająca czarne oczy i spadające na dół włosy. Zdziwiona widząc, iż mularz rozgospodarował się w jéj gabinecie, wydaje krzyk, i trzasnąwszy za sobą drzwiami, wybiega. Po głowie mularza zaczęły się snuć najrozmaitsze myśli. Przypomina sobie operę »Mularz i ślusarz,« domniemywa się tajemnicy, a może nawet zbrodni; poziéra przez szczelinę w murze, ażali w głębi nie odkryje jakiéj do umorzenia głodem przeznaczonéj ofiary. W tém postrzega mężczyznę wysokiego wzrostu z wąsami, bródką hiszpańską i z czarnemi na dół spadającemi kędziory. Znika wszelka wątpliwość. Widzi się za narzędzie śmierci użytym. Poczciwy człowiek ten oburza się tą myślą, ale pomimo to, nie przestaje murować, aby nie wzbudzić podejrzenia. Wreszcie skończywszy robotę, otrzymuje hojną zapłatę, która go jeszcze mocniéj w jego myślach utwierdza. Wychodzi z hotelu, dziwi się niezmiernie, że go wolno puszczono, i jeszcze zawsze obawia się, aby go nie ścigano. Uważa sobie numer domu, nazwisko ulicy i daje znać do prefektury policyi. Rozpowiada wszystko z taką dokładnością, że policyja postanawia udać się z nim do tego domu. Komisarz, człowiek mający dobre wychowanie, nie każe się zapowiadać jak urzędnik publiczny. Żąda tylko pomówić z właścicielem domu, mieszkającym na pierwszém piętrze. Właściciel jest mąż szanowny, posiada znaczny majątek i szacunek publiczny. Nareszcie wymienia mu komisarz o co rzecz idzie, i nie postrzega na twarzy jego żadnego pomieszania. »Jako? człowiek miałby tu być zamkniętym!« — »Ależ dom tu się kończy.« — »Jestto tylko mur główny. Chyba, że się za nim znajduje duży komin; mularzowi zapewne coś się przyśniło. Z resztą — zobaczymy.« Natychmiast każe odrzucić nowo-nałożony tynk, a w tém otwór się szerzy i pokazuje się gabinet, mający kilka stóp głębokości. Rozwalają daléj, rodzina pomaga, a w przeciągu kwadransa wyłom zrobiono. Właściciel domu wchodzi naprzód. Krzyk radości wymyka się z ust jego, młoda małżonka kroczy śmiało po rumowisku; komisarz idzie za nią i wszystko troje wpadają w zachwycenie przed spaniałym obrazem, przedstawiającym w aksamit i jedwab ubranego mężczyznę, słowem przed portretem Van-Dyka w wielkości naturalnéj, z podpisem jego nazwiska. Portret ten darowany przez malarza damie, w któréj się kochał, miano dotychczas za zginiony, w skutek pożaru, który w téj saméj części miasta ku końcu 17go wieku wybuchnął. Właściciel, uradowany niezmiernie tém odkryciem, kazał sto franków wyliczyć mularzowi; ale ten nie odstąpił od swego zdania, utrzymując koniecznie, że człowiek, którego widział, był w saméj rzeczy żywym, i dotąd jeszcze wątpi, aby to miał być portret w saméj istocie.

Sztuka aktora w ogóle nie bardzo jest korzystną dla trwałości życia. Niszczy ona siły fizyczne i moralne. Już Illand powiedział: »U nas wszystko prędzéj spieszy do końca; uciechy i cierpienia, nawet i życie! Te łzy, które wyciskamy, ten uśmiech, którego tak chętnie udzielamy, przyprawiają nas o grób zbyt wczesny.« Jednakże nie mało jest wyjątków. Wspomniéć tylko potrzeba na Swieżawskiego, Kępinskiego, Bogusławskiego i żyjącego jeszcze artystę Szczurowskiego, którzy się doczekali szanownego wieku. Najstarszym zaś aktorem był Jan Noel, zmarły w Paryżu r. 1829, mając lat 118. W 18 lat przed śmiercią jeszcze występował na scenie. Od ósmego roku życia zaczął swój zawod dramatyczny, przez 92 lata nie z wielką sławą, ale z użytkiem na niéj pracował. Ról miał 5760, a występował 18.000 razy, 5040 razy na scenie umarł, a mianowicie 1497 razy zastrzelony, 1287 razy pchnięty sztyletem, 1378 razy zatruty, 267 razy zawleczony na rusztowanie, 390 razy umarł jako *anonim*, 27 razy jako *pseudonim*, 920 był człowiekiem uczciwym, a 13.000 razy łotrem, 41 razy kochał szczęśliwie, a 10.459 razy nieszczęśliwie, nie tracąc przy tém wesołego humoru; ile razy go przywołano, o tém kronika zamilcza. (K. W.)

Gdy na teatrze przy bramie S. Marcina w Paryżu miano się wyuczyć sławnéj krotochwili *Danaidy*, zapora nieprzezwyciężona zdawała się stawać na przeszkodzie. Potrzeba było 100 panien figurantek, a administracyja wszakże nie mogła na cały rok zaangażować 100 aktorek, gdyż nie wiedziała czy sztuka się uda. Autor téj krotochwili, Desogiée, przedstawił więc plan, aby utworzyć korpus ochotniczek, któryby przestawał na przyjemności, że gra w teatrze i na dziennem wynagrodzeniu. Za ogłoszeniem tego życzenia administracyi w dziennikach i doniesieniach, istotnie dała się spostrzedź zupełna dezercyja między modniarkami, pannami przedającemi kwiaty i innemi artystkami tego rodzaju. Wesoła ta nowina dostała się aż do praczek, szwaczek, haftarek i t. d., i wszystkie hurmem pospieszyły. W przeciągu jednego tygodnia obliczono 1.200 kandydatek. Każda z nich wynosiła się, ile możności, chwaląc swoję biegłość i przymioty ciała. Fryzyjer teatralny, dobra sztuka na *Figara*, umiał z tego szału teatralnego korzystną dla siebie wynaleść spekulacyję. Rozmawiając z konkurentkami, zapewniał je, że wiele znaczy u rezyszera, i przyrzekł swoje najgorliwsze usługi, skoro każda przez niego umieszczona nie pukla, nie splotu, ale cały warkocz przyniesie mu jako hołd wdzięczności. Dobre dziewczęta nie odmówiły tego; za wpisaniem więc listy imiennéj zadźwiękły fatalne nożyce, i szczęśliwy protektor uszedł z swoją zdobyczą. Przy próbie prawdziwéj rezyszer jakby spadły z nieba z niezmiernem swojém zadziwieniem, znalazł wszystkie kandydatki z głowami tytusowemi; a w ostatnim akcie miały się wszystkie okazać z rozpuszczonemi włosami, podług owéj tradycyi teatralnéj, która wymaga, aby rozpacz miała długie włosy na ramiona spadające. Gdy tak kłopot był największy, wypada nasz Figaro jak zawołany i rzecze. »Mam sto warkoczy panieńskich, i pożyczam je administracyi za każde przedstawienie pół franka od sztuki, ale za to już sam je ufryzuję.« Handel został ułożony, krotochwila podobała się, tak iż 180 razy ciągle ją przedstawiano; można więc obliczyć, jaki był procent téj spekulacyi.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*